

Jaka ordynacja wyborcza jest lepsza?

10 października 2015

Temat wyborów powszechnych do różnych organów władz państwowych jest bardzo interesujący – szczególnie w okresach przedwyborczych. Partie polityczne budują sojusze, tworzą układy i próbują zdobyć poparcie obywateli w różny sposób. Bardzo przykre w tym obrazie jest to, że politycy nie potrafią się ze sobą dogadać w dążeniu do jednego, nadrzędnego celu, którym zawsze powinno być dobro obywateli.

Politycy potrafią natomiast w najwymyślniejszy sposób prowadzić kampanie wyborcze. Układają strategie, wyznaczają sobie cele, jeżdżą po różnych miastach i wsiach, odwiedzają zakłady pracy i obiekty użytku publicznego. I obiecują. Obiecują wszystko, czego tylko pragniemy – powiedzą nam wszystko to, co chcielibyśmy usłyszeć. I dodadzą, że oni te obietnice wypełnią najlepiej, bo ludzie z innej partii są niedobrzy, niegodni sprawowania urzędu, nie nadają się i wszystko zepsują. Na poparcie swoich słów przytoczą wiele argumentów, byleby tylko pogrążyć swojego politycznego rywala. Bardzo ciekawe w tym wszystkim jest to, że kandydaci na wysokie stanowiska przed wyborami są zawsze blisko ludzi i doskonale rozumieją ich potrzeby, które mogą rozwiązać po dostaniu się do władzy.

Natomiast bezpośrednio po wyborach można co najwyżej kłócić się o ich prawidłowy przebieg i wskazywać naruszenia prawa, do jakich doszło lub mogło dojść. To jest zdecydowanie lepsze niż w rzeczywistości przyjąć z godnością określony stan nowej rzeczywistości i przystąpić do realizacji złożonych wcześniej obietnic. Jak się bowiem okazuje, głoszone przedwyborcze postulaty wcale nie są takie proste do spełnienia. W rzeczywistości może zostać spełniona tylko niewielka część obietnic – a to i tak po długotrwałej i żmudnej drodze zmian

prawnych, w trakcie których wychodzi na jaw wiele przeciwności, z których istnienia nikt przy składaniu obietnic przed wyborami nie zdawał sobie sprawy.

Cel jest jeden – aby dorwać się do koryta!

Już niejednokrotnie pojawiły się głosy, że gdyby demokratyczne wybory mogłyby coś istotnego w naszym świecie zmienić, to zostałyby zdelegalizowane. Rodzi się zatem pytanie – na ile są one demokratyczne, i w jakim stopniu oddając swój głos jesteśmy w stanie wpłynąć na kształt sprawowania władzy, przeprowadzania reform i budowania ogólnospołecznego dobrobytu? Otóż jest to nasz bardzo znikomy wkład własny poprzez czynne prawo wyborcze.

Jesteśmy w dużej mierze atakowani wszelkimi informacjami wyborczymi, trafiającymi do nas poprzez różne środki przekazywania informacji. Nie bez powodu określa się dzisiaj massmedia jako czwartą władzę. Telewizja, radio, plakaty wyborcze a ostatnio w coraz większym stopniu także media społecznościowe i Internet atakują nas starannie wyselekcjonowanymi informacjami na temat startujących w wyborach partii i ich przedstawicieli. Media kreują obraz kandydatów i poprzez różne tricki wpływają na nasze uczucia. Dzięki odpowiedniemu doborowi słów, gestów, otoczenia, tła i wielu innych czynników buduje się albo bardziej pozytywny, albo bardziej negatywny obraz danej osoby. Do tego stopnia, że jesteśmy w stanie czasem zmienić swoje zdanie na podstawie obserwowanych faktów. Jednakże trudno jest ogarnąć i zrozumieć prawdziwą marketingową grę – przedstawienie układane przez dobrze dobranych specjalistów. Nie dostrzegamy tego, że nasza podświadomość jest bombardowana subtelными bodźcami, z których istnienia nie zdajemy sobie sprawy.

Tak samo podzielone będą głosy dotyczące właściwej ordynacji wyborczej. Jedni powiedzą, że obecny stan jest dobry, inni będą chcieli go zmienić. Trudno jest powiedzieć, który z nich jest najbardziej sprawiedliwy, jednak prawdą jest to, że w

większości są skomplikowane i trudne do zrozumienia dla przeciętnego obywatela oddającego głos. Dla nas – zwykłych ludzi – liczy się praktycznie to, żeby oddać swój głos na kandydata, w którym pokładamy zaufanie, z którym wiążemy nadzieję, że będzie dobrze zarządzał naszym państwem, regionem czy miastem. Dopiero w tym roku (2015) zintensyfikowany został ruch na rzecz wprowadzenia jednomandatowych okręgów wyborczych, który od początku zyskał ogromne poparcie w wielu kręgach społecznych. Pomimo pozornej przychylności różnych ugrupowań politycznych, władza jednak jest przeciwna zmianie w tym kierunku, z prostej przyczyny – zbyt wiele mogłaby dzięki temu stracić.

Jednomandatowe okręgi wyborcze zostaną poddane wkrótce ocenie obywateli, którzy dostaną możliwość wypowiedzenia się w prosty sposób „za” albo „przeciw”. Jednak ten system jest obciążony dodatkowym obciążeniem – minimalną frekwencją wyborczą na poziomie 50% uprawnionych do głosowania. Czyż to nie jest absurd? Dlaczego powszechnych wyborów do władz państwowych nie obciąża się takim samym wymogiem warunkującym ich ważność? Czy w jednym kraju mamy dwa różne pojęcia demokracji? Pomińmy nawet ten fakt i załóżmy, że frekwencja będzie wyższa i ludzie opowiedzą się za jedną z opcji. Przecież to wcale nie znaczy, że w ten sposób zmieni się prawo. Władza potraktuje to jako wypowiedź ludzi na dany temat i będzie ją mogła przyjąć lub odrzucić olewając wolę ludu – w zależności od tego, które rozwiązanie dla władzy będzie korzystniejsze. Przecież podobne przykłady wystąpiły już i tak w innych krajach Unii Europejskiej – ostatnim przykładem może posłużyć referendum w Grecji.

Prawdą jest to, że nikomu nie zależy na rzeczowym informowaniu ludzi na temat pytań zadawanych w referendum. W mediach było głośno o JOW przez pewien okres czasu, ale tak naprawdę nikt nie wytłumaczył ludziom w czytelnym języku co ta zmiana ma oznaczać. Nigdzie nie ma prowadzonej odpowiedniej kampanii edukacyjnej, w której bezstronnie wymienia się cechy

poszczególnych ordynacji. Nie informuje się ludzi, jakie korzyści bądź zagrożenia mogą płynąć ze zmiany tego systemu. Dzięki takiemu podejściu ludzie mogą pomyśleć, że to po prostu nie jest wystarczająco istotne i nie będą zmotywowani, żeby pójść i oddać swój głos, dzięki czemu można będzie triumfalnie powiedzieć: „referendum nieważne”. Podobnie ma się sprawa również z innymi pytaniami, w których ludzie mają okazję wyrazić swoje zdanie. Ponadto pytania są układane w banalny sposób. Nawet przy znikomej znajomości systemu władzy, ktoś będzie popierał finansowanie partii z budżetu, co oznacza pośrednie składanie się na nie z podatków nas wszystkich?

Dlaczego władza tak bardzo próbuje odstraszyć od zmiany obecnie panującego systemu? Czy słusznie uważa się, że ludzie pochodzący z regionów będą reprezentowali interesy tylko swojej okolicy? Przecież nikt w Sejmie czy Senacie nie będzie dyskutował na tematy budowy remizy strażackiej w miejscowości X czy organizacji festynu w gminie Y. Za to każdy człowiek wywodzący się z innej części kraju może wnieść nowy, świeży pogląd w tematach, gdzie dotychczas funkcjonowały utarte rozwiązania, lub czasem trudno jest rozwiązać problem. Wiele z obecnych problemów jest rozpatrywanych w kategorii „za” albo „przeciw”. Nowi ludzie nie powiązani dotychczasowo z silnymi ugrupowaniami mogą w niejednej sprawie rzucić jaskrawe światło przedstawiające rozwiązanie problemu w nierozpatrywany dotychczas sposób. Może właśnie tego boi się władza?

Jednomandatowe okręgi wyborcze z pewnością spowodują, że ludzie wybierani do reprezentowania kraju nie będą tak silnie politycznie związani z jednym, centralnym liderem. Konkretna partia polityczna może w taki sposób być mniej jednolita – szczególnie, jeśli nie należy do kilku wiodących. Z pewnością trudniej będzie kontrolować poszczególnych jej członków i być może stworzy się spore zamieszanie. Jednak czy dzięki temu wybrani politycy nie znajdą się bliżej swoich wyborców i ich problemów? Czy partia za wszelką cenę musi być partią zamiast organizacją ludzi, którym obywatele ufają?

Rozmawiając o ordynacji wyborczej musimy także zwrócić uwagę na progi wyborcze, które są pewnym zaporowym poziomem, który partia musi przekroczyć, aby móc swoich przedstawicieli wprowadzić do Parlamentu. Obecnie obowiązuje próg 5% dla pojedynczych partii (a także 8% dla koalicji). W obecnych strukturach, gdzie Sejm tworzony jest przez 460 posłów, jest to równoważne 23 mandatom. Jak łatwo policzyć, wystarczy, że cztery partie osiągną około 4% poparcia w skali kraju, nie mając tym samym możliwości reprezentacji w sejmie, aby około 74 miejsca przypadły jako darmowa nagroda do podziału między największe partie, które dany próg przekroczyły. Według mnie powinno ustanowić się próg na poziomie 0,2%, który to umożliwiałby wprowadzenie do sejmu jednego przedstawiciela. Czy nie byłoby to dużo bardziej sprawiedliwe, zamiast automatycznego zabronienia reprezentacji innych poglądów? Czy to nie jest jawna dyskryminacja wszelkiego rodzaju mniejszości?

Istnieją przesłanki, że system jest tak skonstruowany, aby uniknąć zbyt dużego rozdrobnienia sceny politycznej. W praktyce obecne życie polityczne wygląda w ten sposób, że ścierają się ze sobą dwa duże ugrupowania a kilka (2-4) mniejszych ma szansę na uzyskanie kawałka tortu dla siebie wchodząc w koalicje lub nieformalne układy z innymi partiami. Ustanawiając takie progi już na starcie podpowiada się przeciętnemu obywatelowi, że nie ma sensu głosowanie na niszowe partie, gdyż istnieje możliwość straty głosu w momencie nieosiągnięcia przez daną partię wymaganego minimum głosów. W ten sposób kładzie się silny nacisk, aby obywatel określił się w sposób zero-jedynkowy, czarno-biały. Daje się mocno ograniczony wybór, który w dalszym ciągu dumnie określa się mianem demokracji. Jednocześnie kładzie się nacisk na to, aby jak najwięcej ludzi poszło do wyborów i oddało ważne głosy. Czy zestawiając takie działania w dalszym ciągu dziwić będzie fakt, że ludzie są coraz bardziej zniesmaczeni tym, co się dzieje na naszej arenie politycznej? Że głosy oddają często przeciwko jakiejś partii, ponieważ nie widzą sensownej

alternatywy? Że ludzie mają świadomość, że jakkolwiek by nie zagłosowali, to i tak niewiele są w stanie zmienić?

Jeśli żyjemy w prawdziwym demokratycznym świecie, dlaczego narzucamy niedemokratyczne ograniczenia na jedno z podstawowych wydarzeń tego systemu – czyli wybory powszechne? Przecież nawet jeśli wejdzie wiele – założymy 10 małych partii z poparciem 1-2%, to i tak nie będą miały siły, aby przeforsować duże ustawy. Nie będą miały nawet siły, aby zablokować wprowadzanie reform. Ale będą miały prawo do głosu, możliwość wypowiedzenia się za te 1-2% ludzi, którzy myślą inaczej – bo być może to tam często tkwi rozwiązanie, które jest niezauważalne w rozmytych i pozbawionych kontrastu kolorach wielkich partii, które bardzo uśredniają swoje poglądy. Zapewne odrzucenie progu wyborczego otworzy drzwi dla wielu tzw. oszołomów, którzy poza kilkoma postulatami nie mają długoterminowej strategii dla Państwa. Prawdopodobnie do władzy dostanie się kilka osób, które zszokują opinię swoimi skrajnymi poglądami na wiele problemów. Ale pozwólmy im się wypowiedzieć. Nie dyskryminujemy mniejszości. I tak większość podejmie decyzję, bo nie można dyskryminować praw ogółu dla kilku jednostek. Ale dajmy szansę obywatelom ocenić, czego sami chcą, zamiast narzucać im odgórnie rozwiązania. Większość chociażby z racji liczebności sobie i tak poradzi.

A może właśnie dla obecnej władzy każdy oryginalny głos jest zagrożeniem? Może obecnie sprawujący władzę obawiają się nowych rozwiązań, traktując je jako rysy na fundamentach mogące doprowadzić do utraty kontroli nad sprawowaniem władzy, która dzięki temu faktycznie stopniowo przeszłaby w ręce ludzi? Do takich wniosków skłania dodatkowo dyscyplina partyjna. Jeśli nawet poseł czy senator współtworzący daną partię ma odmienne zdanie w niektórych kwestiach, musi głosować zgodnie z odgórnie narzuconym obowiązkiem. W innym przypadku zostanie skazany na polityczną banicję. W rzeczywistości jest więc odciążony z obowiązku samodzielnego myślenia. Dla partii jest tylko maszynką do podniesienia ręki

i wciśnięcia przycisku. Czy w takim przypadku nie prościej byłoby pozostawić w sejmie tylko kilka osób, każdej przypisując ileś procent głosów, którymi dysponuje? Z góry i szybko będzie można przewidzieć wyniki głosowania bez konieczności zwoływania wielkich i tym samym kosztownych obrad Sejmu.

Czy w dzisiejszym świecie jeszcze ludzie głosują na ludzi, czy już tylko na partie, w których władza należy tylko do określonych osób ustalających strategię rządzenia? Czy można dziś mieć inne poglądy, czy jednak trzeba wtopić się w tłum i wybrać jedną z narzucanych ścieżek? Czy może osoby stojące u władzy po prostu nie pozwolą nigdy na to, aby krajem zaczęli faktycznie rządzić jego mieszkańcy stwarzając jedynie tego pozory? Czy ludzie nie widzą, że to co się dzieje na szczytach władzy, to fantastyczny teatrzyk, dzięki któremu można w odbiorcach wzbudzić określone i pożądane emocje, aby łatwiej było nimi kierować?

Źródła: [FreeSenses.org](https://www.freesenses.org), WolneMedia.net